

Wątpliwości profana

Lata już trwa dyskusja o tym, jak oceniać rezultaty pracy naukowej – placówek, zespołów, pojedynczych uczonych – w warunkach, gdy staje się ona zajęciem masowym. Jako dziennikarz, zatem ktoś obserwujący sytuację z boku, ale długo, przeżyłam entuzjazm dla pomysłów sformalizowania ocen maksymalnie, ujęcia w algorytmy, bez miejsca na, szczerą choćby, indywidualną opinię, po wyniosłe piętnowanie „punktozy” – ulegając rozmaitym wrażeniom, czasem przeciwstawnym.

Całkiem niedawno („PAUza Akademicka” 457) dwugłos, nieco polemiczny, profesorów Jana Woleńskiego i Andrzeja Białasa o trudnościach w ocenie książek humanistycznych, uprzytomnił mi, chyba definitywnie, daremność wymienionych starań.

Przy masowym pisaniu książek (tak samo jak artykułów z dziedzin przyrodniczych) nie da się uniknąć tego, że znajdują się wśród nich wątpliwej wartości, a nawet żenująco kiepskie. Rękomią wartości jest najpierw autor lub autorzy, dalej środowisko, w jakim pracują, następnie recenzenci z tego środowiska, wreszcie wydawnictwo ze swoimi recenzentami. Każda z osób zaangażowanych w ten proces podlega ocenom, wszystkie ponoszą – nierówną – odpowiedzialność za produkt końcowy. Każdy etap procesu powstawania książki można (pewnie trzeba, jeśli pamiętamy *Psychologię kwantową*, utwór powstały w dobrym instytucie przodującego uniwersytetu) poddać surowszej kontroli. Nie wszystkie dadzą się ocenić w punktach jakiegoś algorytmu, z żadnym oddzielnie chyba nie warto tego próbować.

Prawdopodobnie umasowienie czegoś, co było elitarne, nieuchronnie skutkuje spopolitowaniem, w przypadku nauki obniżeniem poziomu. Ilość wpływa na jakość, inaczej jednak niż mówi o tym marksistowskie prawo dialektyki. Jest to prawidłowość, którą trzeba przyjąć do wiadomości, ale nie wolno się z nią pogodzić. Dopóki będą powstawać książki humanistyczne – skoro o nich ostatnio mówimy – istnieć będzie troska, wszystkich biorących w tym udział, o najwyższą jakość, rodzić się będą pomysły, jak tę jakość poprawiać, i nigdy nie uznamy, że jest taka, by się poprawić nie chciało.

Myślę, że sporą rolę, choć mniejszą niż w przypadku książek literackich, odgrywa krytyka i pamiętam od bardzo dawna utyskiwania na słabość krytyki naukowej. I to ogniwo w łańcuchu łączącym umysł autora, w którym lęgną się twórcze idee, z domową biblioteką czytelnika trzeba doskonalić. Wszelkie jednak wysiłki w tym kierunku nie przyniosą sytuacji idealnej, nawet chyba bardzo dobrej, i niepodobna obiecać, że *Psychologia kwantowa* nigdy więcej nie trafi do księgarń.

Z oceną enuncjacji naukowych (we wszelkich aktualnych formach) wiąże się istotna dla tej sfery ludzkiej aktywności sprawa, mianowicie konieczna czujność wobec tego, co nowe, oryginalne, co nie mieści się w obowiązującym paradygmacie, co pierwszemu wejrzaniu jawi się fantazją autora, rojeniem z zakresu futurologii, zgoła absurdem. Stosunek do takich pomysłów zależy, w chyba nie najmniejszym stopniu, od aktualnego stanu ducha odbiorcy. Bywa, że bardziej folgujemy wyobraźni, kiedy indziej, pod wpływem różnych czynników, bywamy rygorystycznie ściśli. Dotyczy

to recenzentów działających na każdym etapie oceny zarówno idei, jak dzieł.

I chyba nie ma na to rady, że kędyś przemknie jakaś *Psychologia kwantowa*, a także, co gorsza, że zarys przełomowej koncepcji utknie pośród zwątpień zapisanych w algorytmie. Świadomość takiego zagrożenia jest pomocna, choć tylko w części (oby jak największej) skuteczna. Nie powinna stawać się hamulcem krępującym, zwłaszcza ludzi młodych, na początku ich drogi naukowej, kiedy ambicje zwykle przerastają znajomość rzeczywistości i własnych sił.

Wszystko, co wyżej, to właściwie truizmy, które się przypominają przy okazji kolejnej fazy deliberacji o tym, jak sformalizować ocenę wyników w nauce, ta zaś chęć jest częścią powszechniejszego dążenia do ujęcia wszelkiej ludzkiej aktywności w ramy kodeksów, zapisów dobrych praktyk, deontologii zawodowych itp. Niepokoi to teoretyków prawa (wypowiadali się na stronach „PAUzy”) jako znamię swego rodzaju duchowej opieszałości, przedkładania wygody sięgnięcia po przepis nad wysiłek umysłu i sumienia, związany z odpowiedzialnością.

Dłuższe trwanie takiego stanu rzeczy wywołuje, jak się zdaje, rutynę, nawyk mechanicznego postępowania się gotowymi formularzami tak długo, dopóki nie zmieni się radykalnie sposób utrwalania i prezentowania tego, co podlega ocenie. Takie radykalne zmiany są nader rzadkie, toteż poprzestajemy na szlifowaniu formularzy. Że to zjawisko powszechne, wiem z niegdysiejszych kilkunastoletnich doświadczeń Rady Etyki Mediów, kiedy to niewielkie grono rozpatrywało sytuacje na ogół niespecjalnie zawiłe, dające się i opisać i ocenić w powszechnie znanych kategoriach moralnych. Zawsze towarzyszyły temu utyskiwania na zbyt ogólnikowe sformułowania Karty Etycznej Mediów, których nie dawano się wprost dopasować do rozpatrywanego przypadku.

Jeśli dzielę się z czytelnikami „PAUzy” wątpliwościami co do możliwości, ale także co do potrzeby maksymalnego sformalizowania ocen w sferze nauki, to powinnam najskromniej zasugerować sposoby zastępcze. Znowu przywołam, a raczej przypomnę, oczywistości. Jeżeli uznamy, że etyki zawodowe nie są niczym innym jak przepisami wykonawczymi do dekalogu, czy jakkolwiek nazwiemy kanon podstawowych norm, to trzeba zważyć, w jakim stopniu jest on obecny w świadomości powszechnej, szczególnie w świadomości tych, którzy zajmują się ocenianiem owoców ludzkiej pracy i działalności. I niezależnie od rezultatów takiej refleksji, warto upowszechniać (może przypominać) podstawowe normy. Nie ma stąd bezpośredniego przejścia do trafnych, sprawiedliwych i wyczerpujących ocen, ale kształtują się kryteria i można ufać, że zaczną funkcjonować w społecznym obiegu.

Wiem, że wspomnianych wyżej doświadczeń, że w niektórych środowiskach kryteria tego, co godziwe, i tego, co niedopuszczalne, uległy częściowemu zatarciu, że nie przychodzą na myśl w pierwszej chwili, gdy stykamy się z czymś rzeczywiste – lub tylko pozornie – niejednoznaczny. Przypominanie ich w konkretnych sytuacjach (z szerokim adresem) bywa wołaniem na puszczy, ale nierzadko pomaga znaleźć drogę. Nie wolno go zaprzestać.

MAGDALENA BAJER